

To przeciw tobie budują ten mur, milcząc

Salvatore Quasimodo

Nie wiem czy jesteś w stanie wyobrazić sobie bardziej rozkoszne tortury. Ech, więc ci opowiem jak to się zaczęło, siadaj, nie wierć się, słuchaj. Wyobraź sobie, wracasz z ogrodu z dwoma koszami jabłek i zapominasz kim jesteś. Wchodzisz do domu podśpiewując dawno niesłyszaną piosenkę, zrzuć zabłocone buty i chcesz się napić herbaty. Szukasz czajnika i nic. Nie poznajesz co to za dom, rozglądasz się i widzisz, że wszystko obróciło się w ruinę. Stęchłe wewnątrz salonu, popękane ściany i dziurawy sufit, z którego wystają połamane, namoknięte belki (takie co to mogą ci zaraz na łeb zlecieć i pogrzebać twoją pamięć na dobre). Więc szczypiasz się, niedowierzasz, nie poznajesz, oblatuje cię strach, że ci się we łbie pomieszało. Nie jesteś pewien czy wszedłeś do swojej chałupy, jak długo szedłeś i po co niosłeś te nadgniłe jabłka, z których nic nie zostanie, kiedy położysz je na progu i odejdziesz. Coś jest na rzeczy, myślisz, poznajesz to i owo, przypominasz sobie, że byłeś tu dawno temu. Przerazająca przestrzeń, w której wracają, przeciskając się przez ciszę, chwile szczęścia. Znajoma szafa, krzesła, okrągły stół, portret kogoś, kto kiedyś trzymał kogoś innego za rękę, kto pachniał przyjemnie, a podczas rozmowy używał słów, które niosły ze sobą posmak wielkiego świata.

Byłem tu dawno temu, a potem spadłem w dół nabijając się na promień słońca.

Nieobecny wówczas i nieobecny teraz, wróciłem po latach, wiedziony instynktem, do tego opuszczonego domu, aby zacząć snuć tę opowieść zbudowaną z dziewięciu stacji, z licznych obrazów, fotografii, iluminacji, portretów, instalacji i ataków szału, które wciąż jeszcze mnie dopadają. Mimo że pomieszało mi się całkiem w głowie, podejrzewam, że to jednak nie mój dom, ale moja strata, którą odkryłem na nowo, przez przypadek, przychodząc tu nie wiadomo po co, niosąc dwa kosze gnijących jabłek. Być może jestem tu, aby dopasować raz jeszcze wszystkie elementy układanki, aby je zsynchronizować z biegnącym, niekształtnym czasem. Słuchasz uważnie? Rozumiem, poczułeś niepokój. Nie przejmuj się, ja czuję go cały czas, a zakwitam dalej wywołując z pamięci strzępy, wióry, trociny.

Zapalił papierosa, krztusząc się dymem i siarką zlizywaną z wilgotnych zapalek. Przypomniawszy sobie gdy byli tu razem. Wpatrywała się w to okno, w które teraz wpatrywał się on. Mówiła, że widzi ogień. Że czuje obecność płomieni. No co ty, odpowiadał, tam jest tylko ciemność. Spojrzała na niego z pogardą.

Po raz pierwszy ujrzał ją na skrzyżowaniu ruchliwych ulic. Wokół w pośpiechu dreptali ludzie zasłuchani w swoje myśli. Nie odrywali wzroku od asfaltowej rzeki spiesząc się do pustych domów, pustych fabryk i gabinetów, do pustych ludzi czekających na nich z pustymi rękami. Szedł wprost na nią. Odskokzył w ostatniej chwili. Minął ją i zastygł. Od razu pożałował, że na nią nie wpadł, że się nie potknął, nie zawadził o jej plecy, nie otarł się o rękę. Mógłby przecież od razu powiedzieć coś co przypominałoby jakieś nieszczerze przeprosiny albo usprawiedliwienie. Przemknął tuż koło niej wymijając ją niczym slalomową tyczkę. Przystanęła na moment, rozglądnęła się i ruszyła dalej. On poczuł na twarzy wiatr, krople wilgoci i lepkie ciała, przez które się przeciskał. Uszedł kilka kroków. Jego nogi stały się ciężkie, a w ustach poruszył się papieros, o którym przez chwilę zapomniał. Papieros, moja miłość, dobrze że jesteś, że palisz tę swoją widmową ciszę puszczając się z dymem.

Stojąc na światłach w tłumie bardzo brzydkich ludzi, przypomniał sobie, że była chyba ubrana na żółto. A może to wcale nie chodziło o kolor ubrania, lecz o żółty kolor, który był w niej

obecny i pozostał po niej, kiedy już odeszła. Nie był pewien czy miała żółty kapelusz czy żółtą apaszkę czy sweter. Było w niej coś żółtego, niczym niedostrzeżone światło, coś nieobecnego w pędzie tamtego lata, które kroczyło bez sensu. Podjął natychmiastową decyzję. W tył zwrot! Zawrócił więc, a wykonując ten manewr potknął się, zaklął i wpadł na jakiegoś grubasa, który odepchnął go wbijając mu w brzuch łokieć. On jednak pobiegł przed siebie nie będąc pewien czy idzie w dobrą stronę, czy podąża jej śladem. Może skręciła w międzyczasie w jakąś ślepią uliczkę lepkiemi ciałami? Może zanurkowała w tłum głów, których wokół było wciąż zbyt wiele. Minęło kilka minut zanim ją dostrzegł. Zrozumiał od razu fenomen żółtej poświaty, która od niej biła. Włosy. Tak, dookoła jej głowy niczym żałobna aureola powiewał pióropusz trzepoczących kosmków włosów w odcieniach żółtych liści zerwanych z jesiennych drzew. Spomiędzy nich dojrzał niewielką twarz. Podbiegł do niej od tyłu, wyprzedził. Przeciął drogę i okrążył tę żółtą lunę niczym ptak kołujący nad własnym gniazdem.

Nie była piękna. Była zawstydzająca. Jakby wydrapano ją pazurami z innej epoki. Może jakiś olbrzym wypchnął ją z nieba, aby strzepnięta została wraz z papierosowym popiołem na błotnisty brzeg nie swojej rzeki. Najwidoczniej przynależała do innego czasu i innych miejsc, innych ludzi i znaczeń. Pewnie w ogóle jej nie było. A jeśli była, zapewne nie było jego, był jej wymysłem. Szedł jednak za nią, nie wiedząc gdzie go prowadzi. Starał się nie spuszczać jej z oka idąc w odległości kilkunastu metrów za nią. Jeszcze dwukrotnie kreślił koła wokół niej. Wyprzedzając ją po łuku, by znów ukryć się za jej plecami. To była jedyna szansa, aby mógł się jej przyjrzeć choć przez chwilę. Kilukrotnie znikala mu z oczu. Za każdym razem odnajdywał jednak tę żółtą plamę w morzu innych, szarych plam, w tym brzydkim mieście, do którego nie pasowała ani ona, ani on. Byli na moście prowadzącym z głębi ziemi na powierzchnię. Wszystko w niej wydawało się być nie na swoim miejscu. Nade wszystko ona sama, jej styl, jej ruchy, sposób ocierania potu z czoła i płynny krok nie pasowały do tego miejsca i czasu. Ta nieadekwatność wydobywała z niej nieznaną cień smutku, który ją otaczał i odgradzał od pozostałych.

Idąc za nią zorientował się, że wychodzą z miasta, kierują się w stronę, której nie znał. Tłum wokół przeredzał się. Musiał zwiększyć dystans pomiędzy nimi, aby nie budzić podejrzeń. Zapadał zmrok. Mijali ostatnie domostwa i tancbudy. Ona czasem zatrzymywała się, wchodziła do knajp wypełnionych ludźmi, do pracowni wygłodniałych artystów lub tajemniczych mieszkań pełnych dziwaków skąd dobiegała donośna muzyka. Wówczas obserwował ją z daleka lub przez rozświetlone krwistym światłem okna. Widział jak rozmawia z nieznanymi mu osobami, wybucha śmiechem lub gestykułuje jakby dyrygowała wielką orkiestrą rozkrzyczanych zwierząt. Kilukrotnie myślał, że ją stracił, że już nie wyjdzie, że połknie ją noc. Zawsze jednak po pewnym czasie wysuwała się z ciemnego tunelu i jakby nigdy nic szła dalej płynąc w powietrzu, przedzierając się wytrwale przez mgłę, która tego wieczoru osiadła na ciałach drzew.

Za miastem rozciągały się leśne nieużytki, pagórki pokryte suchą trawą i wypaloną twardą gliniastą ziemią, z której wyparowała już cała woda i życie. Wydało mu się, że znaleźli się wewnątrz jakiejś baśni, w nierealnej opowieści, w której rządzą magiczne rytuały, a fantastyczne stwory czają się w ukryciu i wyjdą zaraz zza drzew. Mijali ludzi siedzących przy ogniskach wystrzeliwujących w niebo setki iskier tak podobnych do barwy jej włosów mieszających się z odcieniami ognia, który otaczał ich gdy brnęli w nieznanym mu kierunku. Dobiegały ich śpiewy i pijackie pokrzykiwania. Któryś z mężczyzn stojący na drewnianej konstrukcji, przypominający westernowego kowboja ze strzelbą wspartą na kolanach, wykrzyczał w jej kierunku niewybredną litanię zaproszeń do wspólnej zabawy. Wówczas oglądnęła się za siebie i – jak mu się wydawało – dostrzegła go idącego za nią w odległości ponad dwudziestu metrów. Po kilku kolejnych minutach oglądnęła się raz jeszcze. Tym razem nadział się na jej wzrok. Był ostry. Zakłuło. W tym momencie zabolął go ząb. Gdy minęli już ostatnie rozpalone ognie dziewczyna przystanąła i gwałtownie odwróciła się w jego stronę. Zmieszany, nie wiedział jak się zachować. Ona jednak zrobiła kilka kroków ku niemu i szepnęła, chodź, nie odzywaj się, coś ci pokażę, niedaleko stąd. Poczł strach i ciekawość. Skinął głową na znak zgody i poszedł za nią, tym razem trzymał się już blisko niej, jakby prowadziła go w środek przyjemnego ognia, który nie dogasał, lecz zostawał coraz dalej poza ich plecami.

Nie rozmawiali. Jej milczenie porządkowała tajemnica, jego, niepokój. On płynęła w powietrzu, on sunął tuż za nią czując jej zapach, który nie przypominał mu żadnej znanej woni. To tutaj, szepnęła, a on poczuł, że za moment wydarzy się coś istotnego, czego nie będzie już mógł wymazać z pamięci. Szli teraz przez nieogrodzony sad. Wielkie drzewa stały nad nimi jak bezzębne anioły. Czuł jak jego stopy zapadają się w gęstą i kleistą maź. To jabłka, powiedziała dziwnie spokojnie ona. Po chwili z mroku wyłoniły się kontury domu. Zaczekaj tu, powiedziała oschłym głosem. Zniknęła na kilka minut wewnątrz. Gdy pojawiła się w drzwiach i skinęła, wszedł. Znaleźli się w pomieszczeniu, które kiedyś mogło być salonem lub pokojem gościnnym. W środku paliły się porozstawiane nieregularnie świece.

Drzwi przez które weszli były uchylone. Skrzypiały. Trzeszczały. Odprowiały modły. Dostrzegł, że dom był opuszczony, a jego zrujnowane wnętrze kryło w sobie wiele cennych mebli i przedmiotów. Miał wrażenie, że cała przestrzeń została mądrze zainscenizowana będąc areną zmagania tego, co zostało na zawsze pozbawione blasku, z tym co wciąż jeszcze lśniło ostatkiem sił, lecz już nie potrafiło przeciwstawić się upływającemu czasowi, który najpierw wymazał mieszkańców, by teraz powoli wymazywać to, co po nich pozostało. Postawione na podłodze lustro, świeczniki, wypchana głowa sarny, gipsowe figurki Jezusa i świętych, piękne królewskie meble, które tracąc grunt pod nogami snuły własną opowieść. Wydawało mu się, że otarła łzę. Poczul się tak, jakby ktoś chciał zainscenizować utratę, wystawić premierę upadku, zaprosić na wernisaż uszczkniętej pamięci. Wszystko działo się na nieistniejącej scenie, w scenografii zawilgłych ścian i opadających z nich płatów farby i tynku. Ułożone z pietyzmem przedmioty stawały się głównymi aktorami w tym spektaklu nieobecności. Grały swe role doskonale, zmieniając pozycje, maski i funkcje, w zależności od światła, które na nie pada, w zależności od miejsca, z którego na nie patrzył przedstawiany przez nią jak jeszcze jeden przedmiot, jak jedyny widz potrzebny tylko po to, aby przedstawienie mogło trwać.

A ona milcząc konsekwentnie przesuwała meble, zapalała świece, szukała nowych źródeł światła. Przeszła stawała się kolejno próbą rekonstrukcji minionego świata, jego beznamiętną likwidacją i dekonstrukcją albo żywym zainscenizowanym obrazem smutku i rozpaczki przeniesionym z płótna niderlandzkiego malarza.

Rzeczy wyjęte z kontekstu przestawały być sobą. Były dowodem na to, iż świat pozostawał w nieustannym pędzie. Nic nie było związane z własnym czasem ani z miejscem chwilowego pobytu. Każda rzecz, każdy człowiek, stanowili element gry, której reguły odsłaniały się stopniowo. Patrzył na nią i wydawało mu się, że nieustannie milcząc, mówi mu bardzo wiele. Wszystko jest przestrzenią sztuki. Także ona i on, uwikłani już na dobre w ten smutek ludzkiego losu, który raptem odczuł tak dotkliwie. Sztuka dzieje się tam, gdzie człowiek inscenizuje świat po swojemu i jest w stanie narzucać swoje spojrzenie choćby jednej osobie. Poczul się wciągnięty do wnętrza opowieści, w której każdy detal przypominał o tym, że świat jest ruchomy i śmiertelny, zależny od naszego spojrzenia, gotowy do odczytania na wiele sposobów.

Byłeś mi potrzebny, powiedziała na koniec, lekko go popychając z szelmowskim uśmiechem gdy wychodzili przez skrzypiące drzwi wprost do sadu pełnego starych jabłoni i przegniłych jabłek, które pospadały już w miękką trawę, a wkrótce połączą się z ziemią, wilgotną i pachnącą.

W drodze powrotnej szeptali coś między sobą, ale nikt niczego nie dosłyszał, więc nie ma pewności co się wydarzyło. Nie przedstawili się sobie. On rzucił jakiś dowcip zanim się rozeszli każde w swoją stronę. Z pewnych źródeł wiemy, że spotkali się jeszcze nie raz. Brak nam jednak wiarygodnych informacji jak to się stało, że on po latach powrócił w to miejsce, lecz zamiast tworzyć nowe kompozycje, w których być może znalazłby ukojenie, oparty o ścianę wpatrywał się w ogień za oknem i przegryzał nadgniłe jabłka, których jakimś cudem nabierał dwa kosze. Przy okazji odkrył, że świat, w którym się oswojali ze śmiercią starego świata, także już umarł. Umarł śmiercią zupełnie naturalną, bez konkretnych przyczyn. Zainscenizowana śmierć wydaje się być całkiem znośna. Warto na niej wypróbować życie.